

KONRAD T.
LEWANDOWSKI

SAGA
O KOTOŁAKU
RÓŻANOOKA

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
Text © copyright by Konrad T. Lewandowski, 2015

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

PRAWO ONEGO

Nad naturą Moc Ona
trwa, spod gwiazd przybyła,
w sam rdzeń żywota
wbita swoim żądłem.
Lęk przed Nią na wszystko
długie ręce kładzie.
Śmierć sługą posłusznym
jest na Onej dworze
i kornie pod osąd
oddaje swe łupy.
Skrzywdzona niewinność,
gdy nienawiść skazi,
przeciwny naturze
może wydać owoc.
Ten zaś, co naznaczył
zbrodniami swą drogę,
za życie plugawe
weźmie kły wampira.
Tejże, co przed gadem
otwiera swe łono,
za tę podłą rozkosz
da łeb i szpon strzygi.
Płód niepogrzebany,
spędzony ukradkiem,

na rozkaz Onego
przyjmie dziób porońca.
Ów, co swe nasienie
trzewiom wilka oddał,
za zniewagę Prawa
weźmie bure łapy.
Ci, co Moc Onego
dla siebie chcą osiąść,
za pychę tak wielką
śmierć poprzez jej Dzieci...

(fragment *Kodeksu z Katidy*,
Stary Suminor, rok 305 ery Onego)

1

WISIELICA

Kamienie, które mijala, szydziły z niej swoją obojętnością. Porośnięte mchem i połyskujące bielą nadłupanych krawędzi, kanciaste i oble. Wszystkie trwały tu dookoła, pogrążone w zachłannej kontemplacji swej niezmienności i martwoty. Chwilami miała wrażenie, że patrząc na nią, chępią się tą swoją niezniszczalnością, a wtedy lodowaty skurcz chwycił ją za gardło i serce, po czym gwałtownym dreszczem przenikał całe ciało. Tak bardzo chciałaby stać się teraz jednym z nich. One wiedziały, na pewno musiały to wiedzieć, bo ich drwina z tej rozpaczliwej zazdrości przybierała na sile, przechodząc z wolna w szemrzący, szydwczy rechot.

Wyciągnięte leniwie przy ścieżce, siedzące wygodnie na wygniecionej darni, wszystkie wydawały z siebie ten sam pulsujący szepot:

– Odchodzisz... Ty przemijasz, my zostajemy... zostajemy... zostajeemyyy...

– Nie! Nieeee!!! – Związane na plecach ramiona wyprężyły się nagle i mocno szarpnęły sznurami. Palce zwinęły się w pięści, chwytając powietrze. – Nie!!! To nie

ja! Nie ja!!! Niewinna!... Ja niewinna!!! Proszę!... Nie mnieeee!!!

Wyrwała się zaskoczonemu pacholce i runęła na ziemię, krzycząc rozzdzierająco. Milczący dotychczas tłum gapiów zafalował z głuchym pomrukiem.

Trzej sędziowie w ceremonialnej czerni, strażnicy polyskujący ciemną stałą kolczugą i hełmów, papuzio kolorowi mieszczanie oraz chłopcy w białych płótniakach, przybyli z okolic Kardy – wszyscy z pośpiechem stłoczyli się wokół, aby nie uronić z tak interesującego widowiska.

– Puśćcie mnie! To nie ja!!! Przysięgam! Błagam... – Jeszcze raz uniknęła próbujących przytrzymać ją dłoni i długim wyrzutem całego ciała przypadła do nóg sędziemu Molinie. Ten cofnął się, wykrzywiając twarz w dziwnym grymasie.

Rozpaczliwy szloch, przeplatany co chwila zapewnieniami o niewinności, docierał do wszystkich i wywoływał gniew albo kpiące okrzyki. Sędzia Maron słuchał tego z wyraźną uciechą, zadowolony, że skazana tak dobrze odgrywa dla ludu swą rolę, ale sędzia Tares z niesmakiem odwrócił się do stojącego obok kata.

– Zacny Mefinie – mruknął półgłosem, ocierając pot z czoła. – Ucisze tę nieszczęsną...

Dobrze wymierzony w żołądek kopniak przerwał błagalny skowyt w pół słowa. Chwilę później ręka nabita węzlastymi mięśniami złapała dziewczynę za kark i postawiła na nogi. Kilka mocnych uderzeń otwartą dłonią w twarz przywróciło skazanej przytomność, po czym ujęli ją pod ramiona dwaj pomocnicy.

Wznowiono marsz.

Szła teraz skulona, z trudem powłóczęc nogami i potykając się tak, że idący po bokach pacholkomie chwilami musieli ją wlec.

Belkotała coś cicho i niezrozumiale. Krew spływająca z rozbitego nosa i warg skapywała na jej zgrzebną śmiertelną suknię z burego płótna oraz na drogę prowadzącą do bliskiego już szczytu wzgórza.

Kamienie umilkły. Wspinaczka, narastający przedpołudniowy upał, a teraz jeszcze mdlący, przenikliwy ból przepędziły uczucia i myśli. Dziewczyna obojętnie patrzyła na strażnika z widłami w rękę, który – gdy byli już o kilkadziesiąt kroków od celu – wysforował się do przodu i pośpiesznie przerzucił w krzaki leżące pod szubienicą szczątki. Zaraz też podążyło tam trzech ludzi z drabiną i sznurem, by przygotować nową pętlę. Kat skręcił niespodziewanie w bok i odwróciwszy się plecami do tłumu, przystanął przy kępie zarośli.

Sędzia Tares wyciągnął zza pazuchy rulon papieru i chciał podać go Molinie, ale ten pokręcił tylko przecząco głową, więc Tares cofnął rękę i sam podszedł do Ridy.

– Ridina, córka rymarza Dedy... – przeczytał głośno. Gwar głosów umilkł, a kat odwrócił się szybko i dopiął spodnie. – Wiosen dziewiętnaście, oskarżona przez czci-godnego pana Dekela...

Zgaszone oczy Ridy zabłyśły nagle nienawiścią. Wyprostowała się nieco, uniosła głowę.

– Ty ścierwo... – Jej głos dotarł do obu katowskich pacholków. – Będziesz zdychał...

– ...o to, że czarami sprowadziła śmierć na dwoje jego dzieci, które rzeczonej w opiekę powierzone były.

– Nienawidzę... nienawidzę...

– Została uznana winną i w imieniu naszego najjaśniejszego pana Redrena III, króla i samodziercy Suminoru, skazana na śmierć na sznurze. Podpisali imionami swymi jednomyślnie sędziowie Jego Wysokości: Tares, Maron i Molino. – Ostatni z wymienionych gwałtownie poruszył grdyką.

– Mistrzu Mefinie, niechaj się wypełni! – Tares zwinął papier i odstąpił od Ridy.

– Nienawidzę was...

Pętla już była gotowa. Kat Mefin z Kardy, mistrz cechowy, oficjalnie uczeń sławnego Jakuba Katimskiego, acz, o czym mało kto wiedział, odrzucony przez swego mistrza po dwóch miesiącach nauki, sprawnie wszedł do połowy drabiny opartej o poprzeczną belkę szubienicy, chwycił rozkołysany sznur i sprawdzwszy staranność przygotowanych węzłów, dał znak czekającym na dole pomocnikom.

Podprowadzili Ridę, podnieśli ją i z pomocą jeszcze jednego strażnika postawili na czwartym szczeblu. Nie bronila się, była już całkowicie bezwolna i tylko jej nieustanny, monotony szept towarzyszył każdej czynności mistrza. Ten zaś po chwili zeskoczył na ziemię i stanawszy z dłonią opartą o drabinę, pytająco popatrzył na Taresa. Akt łaski nie nastąpił. Odpowiedzią sędziego był przyzwalający ruch głowy.

– Nienawidzę! – krzyknęła jeszcze skazana.

Zatrzeszczał napinany sznur. Drabina z głuchym łomotem uderzyła o ziemię.

Mefin pewnym ruchem chwycił wierzgające nogi, przytrzymał je i mocno pociągnął w dół.

Wśród zgromadzonych rozległ się nerwowy śmiech, ktoś splunął, ktoś inny pozieleniał nagle i chwytając się za żołądek, z pośpiechem ruszył w powrotną drogę.

Błady jak ściana Molino stał, chłonąc wszystko szeroko otwartymi oczami.

Niebawem kat dał znać, że skończone. Nie było już czego oglądać, zebrani poruszyli się i jak fala zaczęli odpływać ze szczytu Szubienicznego Wzgórza. Tares zaczął, aż mistrz Mefin podejździe do niego, po czym bez słowa wręczył mu małą sakiewkę i dołączył do pozostałych.

Nikt się nie obejrzał, aby zobaczyć twarz patrzącą za odchodzącymi...

Dochodziło południe.



Chmura powoli odsłoniła pełny księżyc, a wtedy skały, krzewy i trawy zaśniły szarosrebrzystym blaskiem. Zbudziły się cienie. Lekki powiew wiatru ożywił je i nimi poruszył. Smugi mętnej poświaty rozpełzły się w różne strony, a jedna z nich wślizgnęła się pod kępę zarośli i wydobyla z mroku wpatrzony w przestrzeń oczodół i dwa rzędy matowo połyskujących zębów. Jakby onieśmielona liznęła jeszcze jakąś kość, po czym cofnęła się tam, skąd przyszła. W ślad za cichnącym szmerem lodyg i liści popłynęło długie, przeciągłe skrzypnięcie. To naprężona lina konopna otarła się o suchą drewnianą belkę, a podłużna plama czerni na ziemi ruszyła tam i z powrotem. Nowy

podmuchi i nowe skrzypnięcie. Monotonna, miarowa melodia, którą dało się słyszeć już od kilkunastu godzin.

Nagły dysonans przerwał ów posępny rytm. Kolejny zanikający odgłos, zamiast zamrzeć, przeszedł w gwałtowny trzask. Cień pod szubienicą zadrżał, zafalował i ożył! Ostre szarpnięcie zatrzęsło całą konstrukcją.

Nogi powieszonyj dziewczyny podkurczyły się i wyprostowały, a ona sama zadygotała jakby w nowej agonii. Mięśnie znów napinały się i wiotczały w chaotycznych zrywach, a piersi raz jeszcze podjęły rozpaczliwą walkę o oddech...

Coś przypominającego obłok księżycowego światła skondensowało się tuż nad poprzeczną belką szubienicy, z wolna spłynęło w dół i niczym mgła otuliło szamoczącą się postać. Pomiędzy tym świetlistym kokonem a lśniąco wysoko na niebie tarczą na moment, niczym smuga srebrnego dymu, zabłysł długi i prosty snop blasku. Chwilę później zjawisko przygasło, skurczyło się, a mleczna poświata, pulsując, wniknęła w wiszącą postać.

Teraz...

Wystające spod śmiertelnej sukni bosc stopy Ridy poruszyły się wolno i wyprężyły tak, jakby chciała dotknąć ziemi czubkami palców. Te zaś wydłużyły się wyraźnie, lecz wtem wygięły się wraz z całymi stopami tak mocno i nienaturalnie, że aż chrupnęły pękające kości i zrywane ścięgna. Ze stóp przemienionych nagle w mięsiste pąki, konwulsyjnie drgających i chrzęszczących, wykiełkowały w okamgnieniu podobne do haków szpony.

Po nogach przyszła kolej na dłonie, głowę i resztę ciała.

Przemiana dopełniła się całkowicie.

Niebawem na ziemię spadły zerwane z przedramion powrozy i strzępy podartej sukni.

Świeży twór mocy Onego wisiał jeszcze chwilę spokojnie na stryczku, jakby odpoczywał po Przemianie, po czym pazury potwora mocno wczepiły się w linę nad łbem, dźwigając całe ciało.

Ostre kły szybko przegryzły w połowie sznur od wiśielczej pętli, po czym w ciszy nad Szubienicznym Wzgórzem rozległ się łoskot towarzyszący skokowi z niewielkiej wysokości. Jeszcze tylko gwałtownie zaszeleściły krzewy rosnące na zboczu i już nic więcej nie zmąciło spokoju tej nocy.



Wstający brzask wydobył z granatowego mroku dużą, nieregularną bryłę miasta Kardy, podzielił ją na gromadę pomniejszych konturów i plam, a te pod dotykiem promieni zaczęły uwypuklać się i rozjaśniać, przybierając powoli kształt domów, dwu- i trzypiętrowych kamienic, obronnych murów, wieżyczek i baszt.

Główna droga prowadząca do bramy odcięła się jasnoszarą smugą na tle zieleni poboczy, jako ostatni wyparował cień z głębi fosy.

Zajęczał dawno nieoliwiony kołowrót i płyta zwodzonego mostu zaczęła z wolna opadać na drugi brzeg. Gdy była już o kilka piędzi od obmurowanej czerwonym granitem końcówki gościńca, korba musiała wymknąć się z rąk rozspanego strażnika i platforma z drewnianych bali nabijanych żelaznymi ćwiekami z piekielnym rumorem wyrznęła o kamienie.

Brzęk łańcuchów i dudniący łomot przetoczyły się po okolicy. Na ten odgłos otworzyły się drzwi przydrożnej gospody, odległej od mostu o parę strzelań z łuku, i wyszedł z niej jakiś człowiek.

Mężczyzna chwilę stał na ganku, po czym niepewnie, na miękkich nogach, poczłapał w kierunku otwartej bramy. Szedł długimi, z rozmachem zakreślanymi zakosami, wyraźnie zadowolony, że nikogo nie musi o tej porze wymijać. Nagle stanął gwałtownie i uważnie przypatrzył się kształtowi leżącemu w rowie.

Postąpił jeszcze jeden, dwa kroki... Wydał zdławiony krzyk, zrobił gwałtowny zwrot i szaleńczym biegiem puścił się tam, skąd przyszedł. Potknął się niemal od razu, runął jak długi w pył drogi, przez moment się czołgał, po czym znów popędził, wrzeszcząc i wymachując rękami. W drzwiach gospody zaczepił butem o próg i wraz z tumanem kurzu zatrzymał się na najbliższym stole.

– Gambo, czy ci na rozum padło?! – Karczmarz Riken odstawił kufel, który właśnie wycierał, i wyszedł zza kontuaru. – No co ty?

Tamten, dysząc ciężko i wyrzucając z siebie pojedyncze, niezrozumiałe okrzyki, chwycił go za rękaw koszuli i pociągnął do wyjścia.

– Kat... Mefin... i p-pomocnik... – wykrztusił dopiero na zewnątrz mężczyzna.

– Gdzie?! – W oczach karczmarza błysnęło zrozumienie.

Odpowiedzią był gest wyciągniętej ręki. Po chwili Riken stał już nad przydrożnym rowem. Zbyt wiele po-

dobnych obrazków widział przez dwadzieścia kilka lat pracy w swojej karczynie, aby tracić czas na kontemplację. Skoczył w dół i przypadł do wykręconego nienaturalnie ciała kata. Było zimne i sztywne. Z rozmachem przewrócił je na bok i zobaczył wyrwę wielkości pięści, na karku, tuż poniżej włosów. Lewy policzek trupaznaczony był trzema równoległymi ranami, sięgającymi aż do zębów. Riken zrozumiał, że nic tu po nim, ruszył więc ku leżącemu o trzy kroki dalej pomocnikowi.

Ten żył, ale straszliwe uderzenie w głowę obnażyło mózg i jedno oko wyrwało razem z połową ucha. Nieprzytomny oddychał nierówno, tocząc różową pianę. Widać miał jeszcze strzaskane żebra.

Podłużny cień padł na dno rowu.

– Gambo, po strażę! Szybko! – krzyknął karczmarz, nie patrząc za siebie.

Cień zniknął, a Riken ostrożnie zajął się rannym. Ułożył go w wygodniejszej pozycji i zabrał się za podwiązywanie żeber. Za moment odkrył, że odłamki niektórych z nich poprzebijały ciało i wylazły pod kaftan, inne zapewne podziurawiły nieszczęśnikowi wszystko w środku. Nie można już było mu pomóc.

Na drodze zadudniły kroki wielu biegnących ludzi, szcęknięło żelazo.

– Riki, co z nim? – rozległ się głos dowódcy straży przy głównej bramie, starszego dziesiątnika Tadina.

– Nic, już po nim. – Karczmarz wstał i wytarł w fartuch zakrwawione dłonie.

– A mistrz Mefin?

– Martwy od co najmniej trzech godzin.

Tadin wskoczył do rowu i zbliżył się do pomocnika kata.

– Niech to zaraza... – mruknął półgłosem, a zaraz krzyknął: – Hej, wy tam! Dajcie tu płaszcz i dwie włócznie! I bierzcie go, tylko uważać! – Cofnął się, aby zrobić miejsce żołnierzom i stanął obok Rikena. – Jak sądzisz, kto to zrobił? – zapytał.

Karczmarz spojrział na niego dziwnie zamyślony.

– Nie kto, tylko co. Pamiętasz strzygę Liret piętnaście lat temu?

Dziesiątnik zbladł i z niepokojem popatrzył na najbliższe krzaki.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Głos mu zadrżał. – Przecież u nas... w naszych stronach takie rzeczy nie bywają...

– Twarz mistrza – odpowiedział mu Riken – na policzku ma ślad od pazurów, a poza tym coś jawnie przegryzło mu kark.

– Ale ponoć strzygi zawsze wywlekają bebechy. A ci tutaj...

– Więc było to coś podobnego, tylko że miało odmienne zwyczaje.

Tadin szybko odwrócił się do stojących na gościńcu żołnierzy.

– Wy dwaj! – Pokazał na podwładnych. – Natychmiast zawiadomić o tym sędziego Taresa! Nie dajcie się zbyć, że pora za wczesna. Każcie go budzić, jeśli będzie trzeba.

– Panie, a co z onym nieborakiem? – odezwał się jeden z tych, którzy położyli rannego na prowizorycznych noszach.

– Nieście go do mnie, do gospody – polecił Riken.
Po kilkudziesięciu krokach cichy, przeciągły jęk nagle poruszył idących.

– Na Reha! – zawołał Tadin. – Toż on się budzi...
Stójcie!

Pośpiesznie pochylił się nad zmasakrowaną twarzą.

– Człowieku, mów, co się stało!

Otwarte oko nieruchomo patrzyło w niebo.

– Nie słyszy cię – mruknął karczmarz, ale również przybliżył ucho do ust konającego.

Zsiniałe wargi poruszyły się najpierw bezgłośnie.

– ...wisielic... – Szept był cichy jak szum deszczu za ścianą. – ... To ona... wi... sie... lic... ooo...

– Koniec, po wszystkim. – Riken sięgnął i zamknął to jedyne, zgasłe już oko.

– Rozumiesz coś? – Tadin zrobił nieokreślony gest dłonią.

Karczmarz skinął głową.

– Wisielic... wisielica... Prawda, jest coś takiego. Różne rzeczy słyszy się czasami przy szynkwasiu – powiedział zadumany i nagle się ożywił. – Trzeba by sprawdzić na Szubienicznym Wzgórzu.

– Ta cała Rida...?

– Nie wiem, ale wyślij tam szybko kogoś.

– Tak, zaraz... – Tadin dotknął czoła, jakby opędzal się od natłoku myśli. – Hej, czterech do mnie!

– Panie, mamy onego nieść? – spytał jeden z żołnierzy przy noszach.

– Już nie trzeba. Zostawcie tutaj, grabarze go wezmą.

– Riken nawet nie spojrział na pytającego. – Trzeba dać

znać nadzorcy cmentarza – zwrócił się do Tadina i dodał:
– Niech dobrze zabezpieczą te trupy przed mocą Onego, bo będziemy tu zaraz mieli cały łańcuszek kolejnych Przemian...

Dziesiątnik wydał rozkazy. Potem czekali. Nikt nie odezwał się aż do przybycia sędziów.

Przyszli wszyscy trzej, spokojny jak zawsze Tares, pyszałkowaty Maron i roztrzęsiony, spocony Molino. W milczeniu wysłuchali Tadina i karczmarza.

– „Skrzywdzona niewinność, gdy nienawiść skazi, przeciwny naturze może wydać owoc...” – zacytował ścisłym głosem, na wpeł do siebie, Tares.

– Co to jest?! Co ty bredzisz?! – syknął z furią Maron.
– Oszalałeś?!

– To stary poemat o wszystkim, co nadnaturalne, *Prawo Onego*. Czytałeś?

– Nie gustuję w ludowych zabobonach! Wszyscy uczeni wiedzą, że *Prawo Onego* to bajania nieuków, a nie poważna wiedza.

– Wydaliśmy niesprawiedliwy wyrok...

– Milcz, głupcze!

– Posłaliśmy na sznur niewinną. – Tares nie dał się uciszyć.

– A skąd wiesz, że to ona? Gdzie dowód?!

– Dowód? O, zaraz go dostaniem. Widzę, że wracają już strażnicy, których wysłał zacny Tadin...

Żołnierze nadbiegli zziązani, wyraźnie wzburzeni. Wiadać było, że gnali na łeb na szyję przynajmniej przez całą powrotną drogę.

– Nie ma trupa, nie ma! – wykrzyczał, łapiąc oddech, pierwszy z nich.

– I szmaty na ziemi podarte! – dodał inny.

Milczący do tej pory Molino zsiniał, poruszył wargami jak ryba i wydawało się, że zaraz porazi go apopleksja.

– Spójrzcie, panie! – Strażnik wyciągnął w stronę Taresa sznur odcięty od szubienicznej belki. Oba jego końce trzymał obok siebie. Kontrast pomiędzy jednym – równo przeciętym – ostrzem noża a drugim – postrzępionym i lepkiem od śluzu – był aż nadto wymowny. – Przegryziony – wyjaśnił niepotrzebnie.

Tares bez słowa odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku miasta. Dwaj pozostali sędziowie natychmiast podążyli za nim.

– I co teraz, co teraz?! – wybuchnął Maron.

– Będzie się mścić – odparł Tares z jakimś niehumanicznym spokojem. – Mefinowi odpłaciła tak samo szybką śmiercią, jaką on jej zadał. Chyba nawet nie poczuł, kiedy mu skoczyła na plecy...

– A ten chłopak? – Cynizm Taresa sprawił, że Maron zaczął myśleć logicznie.

– Przypadek, zwyczajnie się napatoczył.

– Przez was to!!! Wszystko przez was! Zmusiliście mnie, namówiliście! A ja wiedziałem! Czulem, że to nie ona! To wy mi kazaliście podpisać ten przeklęty wyrok! Wyyy!!! – rozwrzeszczał się histerycznie Molino.

Tares skoczył do niego, chwycił za togę i z całej siły potrząsnął.

– Opamiętaj się, durniu! Cóżeś myślał, że wolno ci naszą niepewność tłumowi przed oczy wywlekać?! Zresztą wszystko odbyło się jak należy, bo jeśli ja i Maron byliśmy pewni jej winy, to i ty jako trzeci z nami powinienes się zgodzić!

– A aby byliście pewni?

– Zamilcz, głupcze! Procedura była legalna! Tak czy nie?

– Jest jedno ale...

– To swoje „ale” powiedz teraz tamtej, co się z tej dziewczki wylęła, jeśli ciebie wysłuchać zechce...

– Czekaście no... – odezwał się Maron. – Trzeba by rychło wieści rozesłać i Tępicielei sprowadzić.

– Uzgodniliśmy, że Tępicielei nie będziemy w to mieszać! – przypomniał stanowczo Tares. – Teraz należy o wszystkim uwiadomić pana Dekela. On zna kogoś, kto nam pomoże...

– Tak, tylko że oprócz tych machinacji jest jeszcze prawdziwa sprawiedliwość... – powiedział Molino cicho i już tylko do siebie.

Wieść za sprawą pijaczka Gamby błyskawicznie obiegła całe miasto. Kto żyw, bez zwłoki zaczął opatrywać drzwi i okiennice domostw. U kupców żelaznych do południa zabrakło sztab i skobli.

Mieszanina strachu, ciekawości i współczucia dla Ridy, w której niewinność powszechnie uwierzono, niczym lotny opar wypełniła uliczki oraz domy i zakrzepła w pełne napięcia oczekiwanie.

– ■ –

I było znowu południe.

Ach, Rida! Nieuchwytny, bezdźwięczny, ale ogłuszający krzyk przenikał falami cały jego umysł, utrzymując go na pograniczu szaleństwa. Przejmujący ból. Kiedy odpływał, zostawiał po sobie czarną pustkę, a gdy wracał, to mimo iż nie miał postaci, był gorszy niż dotyk rozpalonego żelaza. Ta bezcielesność sprawiała chwilami, że doprowadzony do szału Mino chwycił się za łeb z usilnym pragnieniem, aby rozerwać sobie czaszkę, wyciągnąć mózg i wycisnąć z niego to obłędne cierpienie.

Chciał wycić, miotać się, tłuc głową o ścianę, ale zamiast tego brał kubek i wypijał następną miarkę gorzały. Nic nie dawało się określić, nazwać czy wytłumaczyć, tylko beznadziejność i poczucie nieodwracalności trwały w tej ponurej otchłani, w którą bez przerwy spadał. Nowe hausty piekącego płynu nie zmniejszały udręki, aż do chwili gdy kolejny łyk sprawił, że wielki i ciężki młot spadł wreszcie i rozgniół wszelkie uczucia. Potem jednak Mino nieuchronnie trzeźwiał i znowu wszystko zaczynało się od początku, powtarzało jak ruch karuzeli. Czas i miejsce przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Rozpłynęła się rzeczywistość, ale w końcu w spranym okowitą mózgu nie zostało już nic. Kiedy zapadał się w ciemność, jego ostatnią myślą była nadzieja, że w końcu zapił się na śmierć.

– Mino, może chcesz mleka? Jest kwaśne, dobrze ci zrobi... – niespodzianie zobaczył nad sobą puciołowatą twarz szynkarza Hety.

Zaskoczony spokojem i ciszą, która zapadła w jego duszy, powoli, jakby bojąc się ją zmącić, przyjął kubek i wypił. Miał tak suche usta i gardło, że musiał karcz-

marzowi uwierzyć na słowo, że to kwaśne mleko, bo smaku nie poczuł, ale pragnienie przynajmniej na chwilę znikło.

– Na Reha! – odezwał się Heto, odbierając naczynie.
– W życiu nie widziałem, by ktoś tak chlał i przeżył. Już dwa razy sprawdzałem, czy jeszcze oddychasz!

Równie zdumiony jak ucieszony niespodziewaną ulgą młodzieniec wyprostował się i oparł plecami o ścianę.

– Ile czasu? – zapytał ostrożnie.

– Trzy dni – odrzekł Heto, a widząc osłupienie rozmówcy, dodał pośpiesznie: – No, może bez paru godzin... Przeszedłeś tutaj, zaraz jak się sąd skończył.

Niepotrzebnie przypomniał mu powód pijaństwa.

– A pieniądze? – Mino pośpiesznie zmienił temat.

Karczmarz obejrzał się i zerknął na wiszącą nad szynkwasem tablicę.

– Na razie to ja jeszcze jestem ci trochę dłużny. Koniec końców, nie tak łatwo przepić całe siedem sztuk złota...

– To nalej!

– Daj pokój, Mino! Lepiej coś zjedz, bo naprawdę mi tu skonasz.

– Odczep się, Heto! Nie twoja rzecz! – warknął.

– Niby nie, ale skoroś taki mocny, to może lepiej po męsku weź się w garść! Ale, ale! Ty przecież nic nie wiesz...

– A niby co mam wiedzieć?! – odparł rozeźlony.

– Mefin i jego pomocnik nie żyją.

Wielkie pięści Mina zacisnęły się, aż zatrzeszczały palce.

– Jak to?!

– Po robocie poszli pić pod miasto do Rikena, no wiesz gdzie. Wcześniej to oni zawsze po robocie przychodzili do mnie, ale teraz Mefin przezornie wołał zejść ci z oczu...

– I miał rację! – wycedził przez zęby Mino.

– No właśnie, więc dlatego poszli tam i zostali do późna. Wyszli gdzieś tak w środku nocy...

– Po co? Przecież brama zamknięta!

– A bo ja tam wiem?! – Heto rozeźlił się nagle. – Wi dać mieli do siebie jakiś interes. Nic mi do tego! A rano znaleźli ich w przydrożnym rowie...

I popłynęła opowieść, w trakcie której oczy Mina otwierały się coraz szerzej.

– Więc żyje... – wyszeptał młodzieniec, gdy szynkarz zamilkł.

– Niby kto żyje? – Tamten nie pojął.

– Ridka! Ridka żyje! – wykrzyknął Mino i zerwał się z ławy. Zaczął się miotać po izbie.

– Człowieku, szalonyś?! Co ty gadasz?!

Mino zatrzymał się, popatrzył nieco przytomniej.

– Nieważne... – powiedział powoli. – Daj coś jeść!

– Nareszcie rozumnie gadasz – burknął Heto i zabrał się do krojenia kielbasy.

Młodzieniec usiadł znowu i podparł głowę obiema rękami. Myślał nad czymś głęboko.

Heto usmażył jajecnicę i postawił przed nim talerz.

– Konia mi trzeba i jadła na drogę... – rzekł Mino z pełnymi ustami.

– A to już mi musisz dopłacić. Gdzie cię niesie?

– Do Katimy. Dziś jeszcze ruszam!

– Do stolicy... – powtórzył z namysłem Heto. – Będzie trzeba liczyć pięć dni. Dodaj mi jeszcze dwie sztuki złota. – Widać było, że chciałby o coś zapytać, ale zrezygnował.

Mino sięgnął do kieszeni, wyjął z niej duży złoty pierścień z migoczącym sennie kocim okiem i podał go karczmarzowi.

– Po ojcu... Teraz wystarczy?

– Aż nadto!

– To zastaw, jak wrócę, wykupię. Szukuj mi, co trzeba! Ja jeszcze zajrzę do domu po parę rzeczy na drogę i wracam tu za godzinę, może półtorej. Niech już wszystko czeka gotowe!

– Będzie... – Heto z roztargnieniem skinął głową. Znać było, że myśli o czymś innym.

Mino tego nie zauważył. Dokończył swoją jajecnicę. Wprawdzie nie chciało mu się jeść, lecz zrobił to przez rozum, po czym wybiegł z karczmy na złamanie karku. Rzec by można, jak pijany, bo w istocie wciąż był pijany, ale teraz doszło do tego jeszcze jakieś dziwne uniesienie. Myśl, która nim owładnęła, jaśniała mu w umyśle niczym słońce w zenicie, nie było żadnych cieni, żadnych wątpliwości. Czuł to wszystkimi nerwami, każdym drgnieniem myśli, uczuć i woli...

Rida żyła!!!

Żyła! Nieważne, w jakiej postaci! Nieważne gdzie! Wszystko jedno! Więcej nie umiałby już ująć w słowa. W tej chwili owładnął nim pęd, ruch, pragnienie działania.

Mino popędził jak burza, niemal nie dotykając stopami bruku.

Heto aż wyszedł za nim na ulicę, by się upewnić, że młodzieniec istotnie, zgodnie ze swoją zapowiedzią, zmierza w stronę własnego domu, a nie do pobliskiego zamtuza czy konkurencji. Przekonawszy się, że Mino zrobił, jak mówił, karczmarz wrócił do siebie i przywołał posługacza, zbierającego ze stołu brudne naczynia.

– Zostaw to i biegnij duchem do Zogana! – polecił półgłosem. – Powiedz mu, że młody Dergo umyślił sobie jechać z donosem do Katimy...

Kuchcik skinął głową i pobiegł w przeciwny kraniec ulicy.